

Hanna podniosła wzrok. Łzy wyschły, a twarz nabrała swego zwyczajnego, jasnego i ufnego wyrazu.

– Tak, z pewnością pomoże – odpowiedziała prostodusznie. – To tylko ja byłam głupia i zachłanna, myślę jednak, że nie weźmie mi tego za złe.

– Niece, na pewno nie – odrzekł Erik Albert przeciągle. – Taak – dodał po chwili – to były duże pieniądze.

Jak duże nie był w stanie wyliczyć, „ale dziwne to było, mądre i prawdziwe.”

Tłum. ze szwedzkiego

Natalia Januszewska

Karolina Peszkowska

Sophie Elkan

John Hall

(fragment)

Przedstawienie w pałacu państwa Hall

Zdarzało się od czasu do czasu, że pani Christina Hall, z domu Gothén, była w złym humorze. Nieraz budziła się z nim rano, czasem dopadała ją znienacka, bez powodu, innym razem był to sam pan Hall, który nastrój ten wywoływał. I tak było dziś, w poniedziałek 18 grudnia 1775 roku, kiedy to starym zwyczajem jabłkiem niezgody stał się czteroletni synek państwa, panicz John. Pani Hall obudziła się w wyśmienitym nastroju i udała się do jadalni, gdzie John miał swoje miejsce między rodzicami na wysokim, angielskim krzeselku dziecięcym. Chłopiec pocałował ukochaną matkę w rękę, a pani, która nie lubiła zbyt pieszczot, dała mu buziaka w czoło. Kiedy wchodziła, Pan Hall był zajęty rozmową z brzdącem, ale natychmiast podniósł się i powitał ją pocałunkiem w usta.

Wszystko rozpoczęło się, jak już wyżej nadmieniono, doskonale w ten szczególny dzień. Ale wówczas pomoc do dzieci, która stała za krzesłem Johna, podsunęła mu do ust poślaczoną filiżankę pełną pieniącej się czekolady, którą on, niecierpliwie poruszywszy głową, odepchnął.

– A co to za maniery? – zapytała ostro pani Hall. John nie odpowiedział. Zamiast tego spojrzął na pana Hall i rzekł:

– John chce rozmawiać o małych kucykach. John nie chce pić.

– Jeśli nie chcesz, nie pij synku.

Pan Hall mówił ze szkockim akcentem, bardzo wolno i nieporadnie.

Opiekunka spróbowała jeszcze raz podsunąć filiżankę pod usta Johna. Ale ten do niej napluł. Wówczas pani Hall obróciła się gwałtownie i społiczkowała syna. John zaczął płakać.

– Zabierz go stąd – rozkazała opiekunce.

– Pozwól mu zostać, a sama wyjdź – zmienił polecenie pan Hall.

Opiekunka wyszła. Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, pan Hall obrócił się do swojej żony.

– Jeśli John będzie potrzebował upomnienia lub kary cielesnej, pozwól, że sam się tym zajmę, pani Hall.

John przestał nagle płakać. Spostrzegł, że dopóki płakał, nie mógł usłyszeć ani słowa z tego, co mówili rodzice, a to było bardzo interesujące. Lecz jeszcze bardziej zainteresował się wylewaniem czekolady z filiżanki na spodek, a dalej, gdy już zaczynała się przelewać, pozwalaniem jej ciec na adamaszkowy obrus. Wtedy to zanurzył swój palec wskazujący w największej kałuży czekolady i zaczął rysować różne szlaczki na serwecie, podczas gdy pani Hall odpowiadała mężowi przyciszonym głosem. Warto dodać, że nikt nigdy nie podnosił głosu na pana Hall, nawet ta zazwyczaj odważna pani Christine.

– Powinnam chyba mieć władzę przynajmniej nad moimi dziećmi i służbą, podobnie jak inne żony – rzekła pani Hall z groźnym błyskiem w jasno-niebieskich oczach.

– Tak, widzisz moja droga, możesz rządzić służbą i Dzidzią, ale paniczka Johna zostaw mnie!

Pani Hall wzruszyła ramionami i nie mówiąc już nic, przeszła do gabinetu narożnego.

Pan Hall wziął na ręce swego syna i spadkobiercę. Ze względu na dużą słabość, jaką darzył syna, nie zauważył, że jego małe, wysmarowane paluszki narobiły plam na koronkowej kryzie błędząc w poszukiwaniu ulubionego miejsca pod włosami ojca, związanymi wielką, czarną kokardą z jedwabiu. Małe paluszki poruszały się tak niedbale, że aż biały puder rozsypał się na aksamitny kołnierz eleganckiego, niebieskiego płaszcza i przyciąsił blask dużych, połączanych guzików. Jednak wytworny John Hall nie zaprzętał sobie tym głowy. Myślał wyłącznie o swym synu, którego zaniósł do ogromnego pokoju dzieciennego i przekazał na ręce opiekunki.

– Kiedy paniczka John będzie wracał ze spaceru, ma przejść przez gabinet – rzekł, powoli zdejmując ręce chłopca ze swojej szyi i całując pulchną rączkę.

Gdy ani pan Hall, ani jego syn nie zwracali uwagi na zły humor pani Christine, a złość musiała przecież znaleźć jakieś ujście, mściło się to na

niewinnej służbie. Pech chciał, że taki nastrój przydarzył się akurat wtedy, gdy miało się odbyć wielkie przyjęcie i w związku z tym wszyscy mieli coś do załatwienia z panią. Musieli, jeden za drugim, wchodzić na piętro do jej pokoju, każdy więc dostawał mniejszą lub większą reprimendę.

Pani Hall nie ruszając się z miejsca, udzielała audiencji znad tamborka w półokrągłym gabinecie. Był on jednym z najpiękniejszych pomieszczeń w ogromnym pałacu przy ulicy Sillgatan w Göteborgu. Meble z drzewa różanego, inkrustowane były wykwintnymi, perłowymi tabliczkami z oksydowanego srebra. Pokrycie zrobiono z jasnoszarego, przetykanego srebrem jedwabiu. Włoch Frulli umieścił ponad drzwiami i lamperią piękne płaskorzeźby, przedstawiające girlandy z kwiatów i ptaki. Wszystko skomponowano z największym smakiem i rozmysłem, nie szczędząc kosztów. Rzeźby na ścianach i nad drzwiami były rzadko spotykane i eleganckie. Sofy i krzesła, podobnie jak wszystko inne, co znajdowało się w pokoju, były niebywale piękne. Jednakże pokój ten nie był przepełniony błyszczącymi złoceniami czy napuszonymi barwami i nikt nie zastanawiał się nad drogimi obiciami mebli, nad niespotykanymi mozaikowymi i marmurowymi ozdobami, a jedynie skupiał się na dobrym smaku przy doborze mebli oraz na wyszukanych płaskorzeźbach, które je zdobiły. Gość przestępując próg tego pokoju, musiał najpierw bezwarunkowo wykrzyknąć: jak pięknie! A dopiero później: jak kosztownie!

Była to zasługa pana Hall. Gdyby pani mogła rządzić, wówczas wszystko byłoby pewnie jeszcze bardziej błyszczące i napuszone. Pani Hall gustowała bowiem w błyskotkach i świecidełkach. Zdradzał to jej strój. Mimo porannej pory ubrana była w bardzo ozdobną suknię z grubego jedwabiu. Aksamitkę w wysoko ufryzowanych włosach przytrzymywała elegancka agraftka, biżuteria połyskiwała na uszach oraz między koronkami na gorsecie krzyżowym. Nie należała do doskonałych piękności, ale miała smukłą i wysoką sylwetkę oraz czarującą postać. Kobiety twierdziły, że jej wielkie, niebieskie oczy były zimne, lecz mężczyźni byli innego zdania, a jeden z nich, dowcipny Hummerhjelm, odpowiedział kiedyś na te zarzuty, że „Pani Hall ma piękne oczy, delikatną skórę i usta, które wręcz proszą się o całusa i że są to trzy główne cechy kobiecości.”

Taka właśnie była ta czarująca pani Hall, podczas gdy siedziała z robótką na tamborku przy oknie, które wychodziło na ulicę Hamngatan. Na jedwabnej poduszce przy jej nogach dwuletnia córka Christine bawiła się

z pudelkiem Azorem. Dziewczynka odpychała na podłodze czerwoną safianową piłkę, którą mały pies aportował, wesoło poszczekując i pozwalając, by spadała na łono dziewczynki. Co jakiś czas podskakiwał przy pani Hall, bo chciał, żeby go pogłaskała. Jej usposobienie nigdy nie było na tyle złe, by Azor musiał przez to cierpieć. Z kolei mała Christine nie miała na to odwagi. Wystarczyło jej, że kochana matka pozwalała jej zostać w pokoju i psocić z Azorem. Dziewczynka była bowiem bardzo potulnym dzieckiem.

Pani Hall złościła się, że była w tak złym humorze. Nic jej bardziej nie cieszyło, jak wydawanie dużych przyjęć i na to też szczególnie czekała przez całą zimę.

Uroczystość miała zostać wydana na cześć otwarcia nowego teatru, który pan Hall wznosił w swoim wielkim ogrodzie i który został połączony z okazałym domostwem zadaszoną ścieżką. Przez całą minioną zimę grano przedstawienia u państwa Alströmer oraz u Hallów. Dwór zapoczątkował modę na tą rozrywkę, a reszta göteborgskiego towarzystwa szybko wzięła z niego przykład. A teraz błyskotliwy pomysł wybudowania osobnego teatru sprawił, że prym wiedli państwo Hall. Nie trzeba będzie więcej tłoczyć się w wielkim salonie przeobrażanym za każdym razem w prowizoryczny teatr.

Mój Boże, ile to się nie mówiło na mieście o tym teatrze i o przyjęciu, które miało się odbyć po inauguracji, o sztukach: *L'Honnôte Criminel* i *Celine* oraz o osobach, które miały obsadzić role, przede wszystkim o młodych pannach Alströmer, które grały jak doskonale aktorki, a w szczególności o małej panience Annie Margarecie.

Nie dziwiło zbytnio, że gdy król Gustaw miał swój teatr w Drottningholm to i John Hall chciał mieć swój w Göteborgu, ale wszyscy byli ciekawi, jak ten teatr będzie wyglądał.

Ludzie gapili się na budynek z zewnątrz i upewniali, że nie wyglądał wcale tak okazale, choć twierdzono, że pomieści aż sto dwadzieścia miejsc. I kiedy mówiono, że teatr urządzony był tak luksusowo jak pokój balowy, mijano się to z faktycznym stanem rzeczy. Każdy mógł na pierwszy rzut oka stwierdzić, że w teatrze nie wykonano tyle stiukowej ani rzeźbiarskiej pracy, jaką John Hall zlecił Frulli'emu ozdobić pałac przy Sillgatan, a w szczególności pokój wiejskiej rezydencji w Gunnebo. Plafon był wprawdzie przystrojony parą amorków, trzymających między sobą tarczę ze splecionymi monogramami państwa Hall, ale to było wszystko; ściany były gołe i miały być przykryte i ozdobione girlandami oraz festonami, aby nieco osłabić wrażenie pustki.

Fotele były natomiast wygodne i obleczone czerwonym nankinem, kurtynę pomalował ten sam Francuz, który przygotował dekoracje; orkiestra oraz scena były przestronne, zaś po zespole artystycznym o wspaniałej karierze, można było spodziewać się udanej zabawy.

Liczna służba pałacu Hallów gorliwie zajmowała się, każdy na swoim miejscu, przygotowaniami do przyjęcia.

Duża kuchnia była pełna ludzi, piekli i gotowali, ucierali, ugniatali i dekorowali. Mała ruchliwa gospodyni, ruda stara panna Anderson, jedna z najmielszych i najrozsądniejszych gospodyń domowych miasta, nie darzyła najzdolniejszej kucharki w mieście większą sympatią niż zwykłą pomoc kuchenną. Panna Anderson była zawsze opryskliwa i porywcza w stosunku do swoich podwładnych, a dziś, kiedy gra toczyła się o jej reputację, była niemiła wręcz podwójnie. Wiedziała, że pani Hall siedzi u góry w gabinecie i tylko czeka, aż przyjdzie żeby ją obrzucić swoimi złośliwymi uwagami. Panna Anderson będzie musiała zaprezentować naczynia i dania w miarę jak będą gotowe i wiedziała, że za wszystko zostanie zbesztana.

Teraz stała przed Poncjuszem Piłatem.

Pani Hall próbowała potraw, gdzie tylko się dało, podczas gdy panna Anderson czekała niespokojnie na wyrok.

Wyrok był zawsze równie złośliwy, co humor Pani Hall, która na dodatek robiła okropne miny.

– Za dużo szafranu, rolmopsy mają żółtaczkę! Za mało soli! To jest tak samo mdłe jak panna Anderson! Tego przepisu nauczyła się pewnie panna w Brahe-Grenna! Uff, jakżeż panna posoliła! Czyżby się panna zakochała na stare lata? I to ma być elegancka kolacja?

Panna Anderson nie odpowiedziała, nadto ceniła sobie swoje stanowisko, ale kiedy zeszła do kuchni, złożyła dłonie i rozpoczęła jeremiadę. Pani Hall była w tak złym humorze, że aż przykro i wstyd. Co miał zrobić biedny człowiek, który dał z siebie wszystko?

Teraz przyszła pora na wzbudzącego respekt angielskiego starszego kelnera w białą upudrowaną perucę, spodniach do kolan i lśniących butach. Wniósł do oceny dużą tacę z filiżankami z ponczem i miseczkami z galaretką.

Pani Hall skosztowała ponczu.

– Za słaby – powiedziała.

Ale starszy kelner nie mógł się powstrzymać.

– Takiego chciał pan Hall – odpowiedział.

Azorowi i małej Christine pozwolono spróbować świeżych pralin i mleka migdałowego, i jako że oboje byli w dobrych humorach, nie mieli nic do zarzucenia, wprost przeciwnie, mała Christine cmokała ustami, a Azor oblizywał pysk.

Starszemu kelnerowi, panu Brownowi, wydano kategoryczny rozkaz konsultowania się z panią domu we wszystkim, co dotyczyło nakrycia stołu oraz serwowania potraw, jednak pozwolono mu to zmieniać, po tym jak zwrócił się do samego pana Halla z czarodziejską formułką:

– Mój poprzedni pan, książę Westmoreland, zwykł mieć tak a tak.

Na to pan Hall odpowiedział:

– Panie Brown, ja też tak chcę. Chcę mieć tak jak książę Westmoreland. Szanuję księcia Westmoreland.

Tak też pan Brown nie martwił się złym humorem pani Hall. Nad nią stała wyższa siła, a nad tą, jeszcze wyższa: książę Westmoreland.

Pani Hall była też zbyt rozsądna, by okazać się niełaskawą dla Browna. Uważała, że wykonywano jej wolę i to zupełnie jej wystarczało. A podczas przyjęć, pani Hall bywała tak zajęta gośćmi, że nie zauważała zmian w swych aranżacjach. Chciała tylko jednego, ale tego chciała bezwarunkowo, mianowicie przekonać siebie samą i innych, że rządziła mieszkaniem tu na górze z tak samo niezaprzeczalną władzą, z jaką pan Hall kierował biurem na dole. Kiedy pan Brown zszedł do pokoju kredensowego, stało tam dwóch parobków z ogrodu w Gunnebo. Przysłano ich z kwiatami i zielenią z tamtejszej oranżerii i czekali teraz, aż ktoś ze służby przyjdzie i zanieśnie kwiaty pani Hall, która sama zajmowała się ich aranżacją.

Ale nikt ze służby nie chciał iść. Każdy wykpiwał się czym innym.

– Przecież możecie pójść sami. Wytrzyjcie buty i zanieście kosz do góry głównymi schodami, przejdźcie przez dużą salę, a na lewo siedzi pani. Rozwiewcie się trochę oglądając te wszystkie świecidełka na górze.

Tak samo pomyśleli też parobkowie i dlatego szybko dali się namówić.

Pani Hall popatrzyła na chłopców, którzy stali w drzwiach z wielkim koszem. Mały Azor czekał wściekle i łapał ich za nogi. Jeden z parobków kopnął psa i wymamrotał:

– Diabelska szelma.

Usłyszeli rozkazujący głos pani Hall:

– Natychmiast zdejmijcie buty!

Parobkowie zdjęli buty. Byli okropnie przerażeni i bali się oderwać wzrok od podłogi, o rozglądaniu się za świecidełkami nie wspominając. Chcieliby teraz znaleźć się jak najdalej. Gdyby przynajmniej było już po wszystkim! Ale dopiero teraz się zaczęło:

– Uważajcie! Co za gamoń! To nie drzwi, tylko lustro, nie przechodź przez nie! Wypakujcie kwiaty na marmurowym stole, nie na dywanie, na stole! Cóż za gbury. Idźcie już!

Parobkowie byli tak wystraszeni, że aż kręciło im się w głowach, wypadli za drzwi, zataczając się. Azor czekał uparcie, ale jako że bał się kopniaków, nie odważył się towarzyszyć im dalej niż sięgał wzrok jego pani.

Pani Hall odsunęła swój tamborek na bok i podeszła do stołu. Leżały tam teraz porozrzucane róże, lilie, hiacynty i tulipany.

Kochała kwiaty i miała talent do zajmowania się tymi uroczymi dziećmi Flory. Mała Christina stanęła na palcach i podawała mamie kwiaty. Kiedy już bukiety z najpiękniejszych okazów były związane, pani Hall zaczęła pleść długie girlandy i festony, które miały zdobić kurtynę i ściany, a na koniec wieniec laurowy, który po przedstawieniu miał udekorować głowę najznakomitszej aktorki, dziewięcioletniej Anny Margarety Alströmer.

Pani Hall stała przed weneckim lustrem i przymierzała wieniec, gdy usłyszała za sobą kroki męża. Obróciła się szybko i zdjęła go.

– Jestem tu, żeby usłyszeć, jak John powtarza słowa, które wyrecytuje wieczorem. Opiekunka poinformowała mnie, że ubrano go w strój boga miłości i że ma udać się do gabinetu pani Hall, aby się jej zaprezentować. Powinien już tu być. Widzę, że opiekunka nie była słowna. O, już jest!

Był to bożek Amor we własnej osobie, w zwiewnych białych welonach, ze złotymi skrzydełkami na plecach, złotymi butami o wysokich cholewach na bosych stopach, złotą przepaską we włosach, z połączonym łukiem w jednej ręce i połączonym kołczanem ze strzałami w drugiej.

Mały John też potrafił mieć zły humor, co właśnie pokazał:

– Zabierzcie Dzidzię – powiedział od razu, kiedy wszedł do pokoju. – Nie może patrzeć na Johna.

– Dlaczego miałyby nie móc? – Zapytała pani Hall, sadzając sobie małą Christine na kolanach.

– John nie powie. Zabierzcie Dzidzię i Azora!

– Dlaczego miałabym to zrobić? Oboje są bardzo grzeczni.

– John powie to tylko tatusiowi. John będzie szeptać do tatusia.

Mały amorek objął sztywny kark pana Halla obiema rękami i przyciągnął jego twarz bliżej swojej.

– John wygląda jak dziewczynka. Dzisiaj i Azor nie powinni myśleć, że John jest dziewczynką. John nią nie jest! John jest jedynym chłopczykiem słodkiego tatusia.

Dziecko tak blisko przytknęło usta do ucha ojca, że pani Hall nie słyszała, co mówi, ale po wyrazie twarzy pana Halla widziała, że tłumaczenie dziecka przypadło mu do gustu, co potwierdziła jego wypowiedź:

– John ma rację, niech Maja Stina wyprowadzi Dzidzie.

– I Azora – dodał John Hall junior.

– I Azora.

– Ależ panie Hall – sprzeciwiła się pani Christina i poczerwieniała. W mgnieniu oka zdjęła jednak małą Christinę z kolan.

– John wyjaśnił mi swe powody. Ma rację ze swojego punktu widzenia.

Pani Hall popchnęła niechętnie małą Christinę ku drzwiom.

– Idź, dziecko! – Powiedziała.

Christina zakryła oczy obiema piąstkami i zaczęła płakać. Nie czekając na reakcję rodziców, Bożek Amor wziął na siebie ukaranie jej, co przybrało formę głośnego policzka, przy czym i Azor otrzymał upomnienie w postaci kopniaka.

Pani Hall spojrzała na męża, lecz nie odezwała się słowem. Pan Hall wymamrotał pod nosem po angielsku:

– Jesteś niegrzecznym chłopcem.

Ale powiedział to najłagodniejszym z głosów, tym, z którego czynił użytek niemal wyłącznie w stosunku do syna.

W międzyczasie, gdy pani Hall powróciła do gabinetu, po uprzednim wyprowadzeniu z niego świadków, pan Hall postawił syna na wysokim, poślaczanym taborecie, rozłożył przed nim łuk i strzały oraz ustawił go w pozycji, jaką miał przyjąć na wieczornym święcie. Dał mu też wieniec laurowy:

– Proszę, stań tu, naprzeciwko chłopca – rzekł do żony.

Pani Christina stanęła we wskazanym miejscu i spojrzała na Johna. Musiało być coś szczególnego w tym spojrzeniu, gdyż John raptownie upuścił wieniec i wyciągnął do niej ramiona.

– John nie napluł do filiżanki słodkiej mamusi. Napluł do swojej – wyjaśnił. – John jest grzeczny. Bardzo grzeczny. John nie jest zły na mamusię.

Pani Christina nie mogła się oprzeć. Wybuchła radosnym śmiechem, a jej zły humor zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Gdy John zobaczył mamusię śmiejącą się, sam też się zaśmiał i wydał usteczka do pocałunku, który zresztą otrzymał. Po czym ustawił się z powrotem w pozycji.

– Podaj Johnowi wieniec, to powie wiersz.

John Hall podniósł wieniec z podłogi i wręczył go chłopcu. John, trzymając mocno oburącz wieniec, podał go mamusi.

Bardzo prędko, czystym głosem oraz szczególnym naciskiem na obco brzmiące słowa John odklepał wiersz zamówiony przez tatusia u siostrzeńca Olofa Benjamina Lunda, nadwornego poetę domu.

– Bardzo ładnie, John! A teraz jeszcze raz, ale wolniej, chłopcze. Wyobraź sobie, że stoi przed tobą Marguerite Alströmer i że to jej właśnie wręczasz wieniec.

– Nie, John nie chce. John chce podarować wieniec mamusi. John nie lubi Marguerite. Ona całuje Johna.

– John musi dać jej wieniec dziś wieczorem, rozumie John? Dziś wieczorem.

– John nie chce.

– Nie ma mowy o chceniu.

– John nie da wieńca.

– John poda wieniec, gdy tatuś mu powie, żeby to zrobił.

– Nie, John nie poda wieńca. John nie ma już ochoty przebywać tu dłużej. John chce iść do Maji Stiny.

– John może odejść, ale niech weźmie ze sobą łuk.

John nie podniósł łuku, tylko kopał go przed sobą przez całą długość sali.

– Ładnie deklamował, prawda pani Hall – rzekł pan Hall.

– I tak nie wręczy wieńca laurowego Marguericie Alströmer dziś wieczorem, nie ma więc znaczenia, czy dobrze recytuje – rzekła pani Christina, wieszając wieniec na lustrze.

– Dlaczego miałby tego nie zrobić?

– Dlatego, że nie ma na to ochoty. Co miałoby go do tego zmusić?

– To, że ja chcę.

Pani Hall nie odpowiedziała. Pan Hall zdawał się mieć coś do dodania, lecz nie powiedział nic więcej. Wyjął z kieszeni spodni złoty zegarek i, po-

trzęsając głową, przyglądał się z uwagą wskazówce.

– Wracam do biura – oznajmił.

* * *

Spektakl miał się rozpocząć o siedemnastej.

Wraz z wybiciem godziny, na miejscu dla orkiestry zebrali się dystyngowani panowie, tworzący zespół amatorów. Przy pierwszym pulpicie stał radca handlowy rycerz Patrik Alströmer wraz z majorem rycerzem Silfversparre oraz panem wicehrabią Jacobsonem. Przy następnym pulpicie znajdował się pan Malm, pan Fock oraz pan Bellenden. Altem zajął się dyrektor, pan Johan Alströmer, klawesynem pan Beijer, a puzonem kapitan rycerz Malmström. Przy kontrafagocie, oboju, waltorni i innych instrumentach zasiedli równie znakomici muzycy.

Eleganccy panowie zaprezentowali się w wytwornej wieczorowej gali: w jedwabnych pończochach i butach, spodniach do kolan, koronkowych kryzach oraz wyszywanych aksamitnych frakach. Pan Hall sam poprowadził przybyłych do pulpitów, gdzie oczekiwały na nich instrumenty.

Patrik Alströmer ułożył skrzypce pod brodą i na próbę przesunął smyczkiem po strunach, podczas gdy kapitan Malmström stroił puzon, a wicehrabia Jacobson ostrożnie uwalniał swe skrzypce z cudnego, bogato obszywanego jedwabnego pokrowca. Nieco dalej pan Kärström skręcał swój flet poprzeczny. A pan Storm ścierał kurz ze swego oboju miłosnego miękką jedwabną chusteczką, przeznaczoną wyłącznie do tego celu.

Kotarę przy wejściu podnoszono przed każdym wchodzącym. Jako pierwsza weszła wdowa po Nicklasie Jacobsonie Sahlgrenie, obecnie zaślubiona kapitanowi Carlowi Hästesko.

Pan Hall użyczył wielce poważanej starszej damie ramienia i poprowadził ją na honorowe miejsce obok siebie. Drugie zaś, to z prawej strony, znakomitsze przeznaczone było dla wojewodowej, generałowej, wysoko urodzonej baronowej pani Du Rietz. Wdowa po Niclasie Jacobsonie Sahlgrenie była piękną i jowialną staruszką, która nie zważając na swój podeszły wiek, lubiła się bawić i otaczać młodymi ludźmi. W całym mieście słynęła z filantropii i dobroci dla biednych i nieszczęśliwych. Była nadzwyczaj lubiana przez wszystkich, biednych i bogatych, nie wykluczając jej własnej, wielkiej rodziny. Wzbudzała sympatię i szacunek jednocześnie, gdy tak siedziała

siwa i krągłutka w swej staroświeckiej brązowej sukni z grubego, kwiecistego jedwabiu, z białą koronkową chustą na posiwiącej głowie. Starsza dama poklepała panią Christinę po policzku i rzekła do niej:

– Moja droga, wyglądasz dziś doprawdy uroczo!

– Też tak uważam – zachrypiał stary dworzanin, kupiec i fabrykant Johan Henrik Damm.

Tuż przy drzwiach stało dwóch młodych dżentelmenów, którzy przystanęli tam w przekonaniu, że zdołają przyjrzeć się z bliska pięknym i pikantrym damom śmietanki towarzyskiej. Jednym z nich był nowo przybyły do miasta młody chorąży Stapelmohr. Drugim zaś, znany ze swego ostrego języka słynny dyrygent Löfvenhjelm, który zobowiązał się wymienić każdą z przechodzących piękności i dostojnych matron z imienia i charakteru.

– Staruszka Sahlgren, człowiek nigdy nie nauczy zwracać do niej inaczej, urocza, ale jak mówię, staruszka – poinformował Löfvenhjelm. – A ktoś to nadchodzi? Aha, pan Kåhre ze swą nieprzyjemną żoną i jeszcze nieprzyjemniejszą szwagierką. A oto urocza i punktualna pani Engelke. Przyprowadziła ze sobą miłą pannę Schütz. Tam mamy Carla Gustafa Brusewitza, zacnego człowieka. Nadchodzi wojewoda i generał we własnej osobie, wraz z generałową. Wyrazy szacunku! Proszę spojrzeć tam, to żona Gustafa Thama, dyrektora Kompanii Wschodnioindyjskiej. Dalej pani Schoting, ładna, ale kokieteryjna i nie grzesząca rozsądkiem. Chce być kimś, i dobrze, tyle że trud ten daje się dostrzec gołym okiem. O, pani Ramsay, równie piękna. Ma wciąż w sobie nieśmiałość dziecięcia, chętnie stroni od konwersacji z młodymi mężczyznami. Z czasem zmieni się pewnie, a póki co, to mało zajmujące zwracanie głowy tylko. A te tam, droczące się, dygające na przemian i schlebające sobie, tak, któżby uwierzył, że są siostrami, pani Arvidsson wraz z panią wicehrabiną Jacobson. Śliczne dziewczęta, nie uważasz, panie chorąży? Eh, trajkoczą jak najprawdziwsze przekupki. Spójrz pan lepiej na pannę Storm. Czyż nie piękna, choć ciężka niczym folia! Ta, co siada właśnie, to uczona pani Vesterberg. Słowem nie wspomniałem o panach. Mianowicie, oto Wohlfahrt, osobliwa kompozycja zresztą. Tam Herpel, pierwszy księgowy Johna Halla. Z każdym dniem staje się bardziej zgorzkniały. Popatrz na panią Treffenberg! Jej oczy czynią mi przyjemność, niekończącą się przyjemność, a jakież gustowny ubiór!

– Wszystkie damy z Göteborga są szarmanckie, ale najbardziej nasza wspaniała gospodyni.

Löfvenhjelm na to z błyskiem w oku:

– Doceniam dobre strony pani Christiny Hall. Jest szarmancka, mądra, wspaniała i miła, ale są też tacy, którzy twierdzą, że za tą fasadą nic się kryje.

– Kto tak powiada? – wybuchnął urażony chorąży.

Löfvenhjelm klepnął młodego mężczyznę po ramieniu.

– Nikt tego wieczora, młody przyjacielu – rzekł obracając się na pięcie.

John Hall wraz z żoną byli całkowicie zajęci witaniem przybyłych gości. Panowie całowali panią Christinę w rękę, podczas gdy wytworny John Hall odprowadzał ich małżonki na przewidziane dla nich miejsca. Panowie musieli sami znaleźć swoje.

Wszyscy już przybyli i z widowni dochodziły ożywione głosy. Nagle zrobiło się cicho. Zabrzmiała muzyka.

John Hall sam nie grał na żadnym instrumencie, uwielbiał jednak muzykę, a przy tym miał doskonały słuch. Był zdania, że panowie przy pulpitych nigdy jeszcze nie grali piękniej i nie wydobywali lepiej z instrumentów całej harmonii dźwięków, niż właśnie tego wieczoru. Możliwe, że tak to odczuwał dlatego, że była to inauguracja jego teatru, grano więc ku jego czci i chwale. Rozejrzał się po tym olśniewającym towarzystwie i z przyjemnością stwierdził, że czuje się potężnym człowiekiem, że wszyscy zazdroszczą mu, a on nikomu. Spojrzał na swoją czarującą żonę, pomyślał o swoich dzieciach, szczególnie o Johnie, który pewnego dnia odziedziczy po nim to wszystko, co posiada.

John Hall przysłonił oczy ręką, jakby siedział w kościele. Muzyka, która była w stanie wyostrzyć i uwznioślić jego myśli, oładnęła nim całym. John Hall ocknął się ze swoich rozważań dopiero, gdy instrumenty ucichły, a kurtyna poszła w górę rozpoczynając wstrząsający dramat *L'Honnête Criminel*. Potem *Celinde* z Anną Margarethą Alströmer w roli głównej. Zaledwie dziewięcioletnia Marguerite Alströmer miała wrodzony talent aktorski. Kreowała odgrywaną postać z tak wielkim wyczuciem i gracją, że najwięksi znawcy nie mogli wyjść z podziwu. Brawom i oklaskom nie było końca. Im dłużej trwała sztuka, tym bardziej poruszała serca widzów. A gdy kurtyna opadła, kobiety miały oczy pełne łez, a niektórzy z panów głośno wycierali nosy. Do tego stopnia była w stanie Marguerite Alströmer zachwycić oraz poruszyć widzów swoją delikatną i niewinną grą.

A teraz główna bohaterka wieczoru miała zostać udekorowana wieńcem

przez młodego spadkobiercę majątku Hallów. Rodziny Alströmer i Hall stały na czele życia teatralnego w Göteborgu, a odkąd John Hall zbudował teatr, w którym występowały trzy młode panny Alströmer, stało się oczywiste, że zasługi należy podzielić. To był pomysł pani Christiny, kobiety mądrej w każdym calu, potrafiącej dyplomatycznie rozwiązywać sprawy, gdy nie przeszkadzał jej w tym zły humor. Pan Hall zaakceptował propozycję, częściowo dlatego, że Marguerite Alströmer była jedyną wnuczką szanowanego dyrektora i patrioty, komandora Niclasa Sahlgreny, a po części i głównie dlatego, że jego ukochany syn miał w tym odegrać dużą rolę. Występ młodego Johna, jako boga miłości, miał się stać główną atrakcją wieczoru.

John Hall czekał na ten moment. Jednak coś było nie tak. Wystąpił jakiś organizacyjny problem. Kurtyna powinna niezwłocznie pójść do góry po zakończeniu przedstawienia i ukazać tę piękną scenę, którą pan Hall ćwiczył z synem przedpołudniem. Kurtyna pozostawała jednak opuszczona. Zza niej dało się słyszeć wyraźnie wypowiedziane przez młodego Johna słowa, które próbowały przebić się do widowni, co wywoływało delikatne uśmiechy i zmieszane spojrzenia.

Pani Hall siedziała, otoczona gronem nadskakujących jej młodych kawalerów. Jej bystre, błyszczące oczy wywierały na nich ogromne wrażenie. Kurzyn Löfvenhjelm szeptał jej właśnie do ucha jedną z tych swoich nieprzyzwyczajonych uprzejmości, której żadna z dam w Göteborgu nie ceniła wyżej niż ona. Prędko przeprosiła i opuściła swoje miejsce, by sprawdzić, co jest nie w porządku. Gdy tylko zniknęła, pan Hall podniósł się powoli ze swojego miejsca i jak najbardziej dyskretnie próbował opuścić widownię. Był wyraźnie skrupowany, jednak jego grzeczni goście nie dawali po sobie poznać, że dostrzegli jego wyjście. Czekali, co będzie dalej. Niektórzy wtajemniczeni, kiwali znacząco głowami, uśmiechając się lekko. Osobliwa postać młodego Johna była już dość znana i komentowana w mieście.

Kurtyna była na tyle cienka, że widownia doskonale słyszała głos pana Halla, mimo że słów nie dało się rozróżnić. Co jakiś czas dochodził natomiast gwałtowny krzyk pani Christiny, która próbowała wpłynąć na swojego upartego syna. Sens tych krzyków można było zrozumieć słuchając wyraźnych odpowiedzi młodego Johna.

– John nie chce. John tego nie robi. To nic nie da. John nie chce i tego nie robi.

Kolejna odpowiedź:

– John nie przeczyta wiersza, ona nie dostanie wieńca, John jej go nie da.

Sądząc ze zmiany tonu głosu Johna, pan Hall musiał się uciec do przepustwa:

– John dostanie małe kucyki? A mały powóz też? A jest pomalowany w małe aniołki, a klamka jest ze złota?

Odpowiedź musiała zadowolić Johna, ponieważ kontynuował litanie swoich żądań tym samym tonem.

– I lejce z jedwabiu, i bat ze srebrną rękojeścią! Czy tatuś obiecuje? W takim razie John grzecznie przeczyta wiersz.

Po czym wypowiedziano jeszcze kilka słabo słyszalnych słów, których uważni widzowie już nie zrozumieli.

Kurtyna podniosła się do góry.

Widzom ukazał się czarujący widok.

Dekoracja przedstawiała zagajnik pełen drzew, w środku ołtarz, przed którym stała Marguerite Alströmer, odziana w białą szatę. Na ukwieconym ołtarzu stał najukochańszy amerek z głębokimi dołkami w tłusciutkich, dziecięcych ramionach, figlarnymi oczami oraz szelmowskim uśmiechem na różowej buzi. Był tak maleńki, że panie zaczęły szeptać do siebie, że można by się obawiać, że aniołek uniesie swoje złote skrzydełka i odleci.

Na ołtarzu przed amorkiem leżał pęk strzał, niczym wiązanka promieni słonecznych. W małych rączkach trzymał wieniec laurowy. Widownię dogłębnie poruszył ten widok, panowie klaskali w ręce, krzycząc wiwat, a panie machały chusteczkami.

John zdawał się w ogóle na to nie reagować. Bez jakiegokolwiek śladu zawstydzienia, czy zająknięcia, recytował głośno i wyraźnie, nieco wolniej i z lepszą dykcją niż przed południem:

– Matką mą Afrodyta, tobie przesyła laury Apollona, przybieram nimi głowę twą, weź wieniec z rąk boga Amora! Uroczyście otworzyłaś nasz teatr, co poświęcony został Talii. Dziękujemy Ci za wszelkie piękno, czułość i szlachetność, którą nas obdarzyłaś. Z samego Olimpu przybyłem, by cię koronować kapłanko sztuki, ciebie, co do łez poruszyłaś dziś wieczorem każdego wrażliwego mężczyznę i każdą delikatną kobietę.

Przez salę przeszedł cichy szmer. Marguerite Alströmer podeszła parę kroków bliżej, jak to zostało ustalone, by otrzymać wieniec. Stała ze wzro-

kiem spuszczonego w dół i czekała. Lecz żaden wieniec nie ozdobił jej głowy.

Zamiast tego usłyszała jak syn Afrodyty, bóg z Olimpu zesłany, rzekł tym samym tonem, głośno i dosadnie, jakby jeszcze wciąż deklamował:

– John tego nie robi.

Powietrze przeszył szelest głosów. Marguerite Alströmer szybko podniosła wzrok. Niedaleko za kulisami stała pani Hall i z przerażenia złapała się za głowę, trafiona dużym wieńcem laurowym. Wysoka i kunsztownie upięta fryzura, która wieczorem budziła tyle zachwytu i zazdrości, została znacznie zniszczona. Pani Christina poczerwieniała ze złości, pogroziła synowi i krzyknęła:

– Ty niedorajdo!

Wydawało się, że ta matczyną nagana stała się impulsem do pomysłu Amora. Bóg wciąż stał na ołtarzu i z tego imponującego miejsca wytknął język w kierunku Marguerite Alströmer, a drobne ręce, które jeszcze przed chwilą trzymały wieniec laurowy, złożył przed perkatym nosem, w najbardziej impertynenckiej pozycji, jaką można sobie wyobrazić. Amor wytknął język na boską Celinę! Dom rodziny Hallów grał na nosie rodzinom Sahlgren i Alströmer!

Pan Hall pośpiesznie opuścił kurtynę i w ten szybki sposób zakończył pierwsze publiczne wystąpienie młodego Johna.

Tłum. ze szwedzkiego

Izabela Kozłowska

Agnieszka Abramowicz

Danuta Jarosiewicz

Dagmara Lewińska